Lwów, 9. Listopada. Nr 134. Rok 1854.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr.— kwartalna 1 Złr. 30 kr.— miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem potyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha

STARY KOMORNIK.

(Ciąg dalszy).

Z całego rodzeństwa lubił on niby najwięcej najmłodszą siostrzyczkę Rózię, lube i ładniutkie a poczciwe z kościami dziecko. Brał ją nawet nieraz pod opiekę swoją naprzeciw starszych braci, dobrych ale rozpustnych nieco chłopców; prawda że po danej opiece zawsze coś wytumanił od wdzięcznego dziewczęcia, bogdajby szpilkę prostą. A przecież nie wahał się i od niej wyfacyendować, co mu się tylko u niej podobało. Biedna Rózia dostała raz w darze śliczną figurkę z piernika z cudnem obarwieniem i cudniejszą pozłotką. Łatwo pojąć jak się nią cieszyła. Piotruś póty koło niej chodził, prawił, i wmawiał, póki tej figurki nie zafacyendował za starą wytartą lalkę drewnianą bez jednej nogi i pół ręki. Rózia gdy się wnet opamiętała, zalewała się rzewnemi łzami, i zawodziła za cudną figurką, aż się wszystkim serce krajało. Piotruś choć ją kochał, niewzruszony schował figurkę do drewnianego kuferka, w którym wszystkie swoje najróżnorodniejsze składał łupy, i który od starego pisarza prowentowego wytumanił, czyli raczej przefacyendował za jakieś tam przyrzeczenie, którego nigdy nie dotrzymał.

Bywał w domu pana Jana ksiądz Idzi, bonifrater aż z pod Krakowa, który peryodycznie objeżdżał cały kraj i sławnym był lekarzem, a mianowicie dentystą niepospolitym. Przyjazdu tego najczęściej wyglądała pani Janowa, która zawsze coś z jego bytności skorzystała, czy to sekret jaki lekarski, czy nareszcie i przepis jaki do pieczenia ciast lub smażenia konfektów, w czem ksiądz Idzi celował także. Wyglądały go i dzieci niepospolicie, bo przywoził z sobą mnóstwo obrazków, któremi je obdarzał. Ten pierwszy zastanowił się nad szczególną chciwością Piotrusia, któremu gdy ksiądz Idzi rozłożywszy wszystkie obrazki, dał do wyboru, który z nich wziąć dla siebie, zawołał najnaiwniej z okiem łyszczącem:

— Ja chcę wszystkie.

Lecz ksiądz Idzi był człowiek z sercem, ale niekoniecznie z głową. Podumawszy więc trochę, wziął tabaczki razy kilka i zwrócony do rodziców Piotrusia — ozwał się po chwili, z wyrazem pełnym znaczenia:

— On będzie zakonnikiem!... będzie z niego kiedyś sławny w kraju kwestarz.

A on tymszasem miał zostać komornikiem, i że niczem innem zostać nie mógł i nawet niechciał, wkrótce dowiódł ojcu w sposób, który zwrócił przecie jego uwagę.

Najbliższym sąsiadem pana Jana, był pan Samuel Cielkiewicz. Dzielił ich tylko Prut, po którego obu bokach stały patrzące na się oba sąsiedztwem i przyjaźnią złączone dwory.. Lat trzydzieści z górą znali się obaj panowie, bo nawet za młodu w jednej służyli chorągwi i obaj byli dworzanami dwóch pokrewnych sobie pańskich dworów. Przypadek zrobił ich sąsiadami, z czego łatwo pojąć, jaka im urosła pociecha i jaka radość gdy w długie wieczory zimowe przy płonącym kominie a pałającym krupniku sobie przypominali, a sąsiadom rozpowiadali przeżyte dzieje i pamiątki. Zgoda panowała wzorowa między obu dworami, zgoda niczem nie przerwana, bo nawet obie panie żony przyjaciół i sąsiadów, które nieraz bywają najniebezpieczniejszym skopułem przyjaźni i zażyłości sąsiedzkich mężów, poprzyjaźniły się niepospolicie, do czego najwięcej im pomogło, że się w gustach i nawyczkach nie zdybywały, przezco unikły tej niebezpiecznej współzawiści. Pani Janowa smażyła konfitury, które pani Samuelowa chętnie jadła, a jedząc chwaliła, bo podobnych smażyć nie umiała. Pani Samuelowa lubiła znowu pasyami gospodarstwo, celowała w urządzeniu lnu, którego białość wzbudzała podziw okolicy, i mnogie zabiegi żydków, przybywających do niej z Kołomyi, a nawet ze Stanisławowa. Pani Janowa nie znała się na tem, a więc szczerze podziwiała mistrzowski w tej mierze talent pan Samuelowej.

I zgoda ta trwała już lat tyle, iż zdawało się, że nic już w świecie nadwerężyć jej nie jest w stanie. Lecz któż jest w stanie wyrachować naprzód wszystkie zdarzenia, mianowicie jeżeli się w ich urządzenie wmiesza zadroszczący spokoju i szczęścia ludzkiego szatan niezgody, który nie wiem za jakie grzechy praojców naszych najwięcej lubił mieszać się do naszych spraw publicznych i prywatnych.

Pierszem zarzewiem niezgody stał się Piotruś, który znienawidził Józia, synka pana Cielkiewicza. Józio był w zupełnem przeciwieństwie z Piotrusiem. O ile ten był cichy, skryty i oblesny, o tyle tamten był żywy, prędki, raptusowaty, istny syn konfederaty barskiego, którym stary

Cielkiewicz był czas niejaki. Owoż Piotrusiowi zachciało się jakiegoś biczyka, którym Józio wywijał i wytrzaskiwał po mistrzowsku. By go dostać, użył Piotruś wszystkich swoich sposobów, wymowy, namowy, nudzenia, pochlebstwa i faciendy nareszcie. I dostał na koniec, ale nie biczyk dostał, jeno tym samym biczykiem potężnie po plecach i twarzy od zniecierpliwionego Józia. Gdy się podobne zdarzenia powtarzały i zawsze kończyły sińcami na skórze Piotrusia, musieli się wdawać rodzice, i nieraz przymówili sobie; lecz wnet te małe pierzchały chmurki, dawna zgoda wracała, okupiona najczęściej skórą obu chłopców należycie rózgami obitą.

Ale zawsze ponawiał się rodzaj kwasu, który póty kisł, póki przy zdarzonej okazyi nie wyrósł w ogromny pasztet.

Obaj sąsiedzi mieli lasy swoje po tej stronie Prutu, gdzie był dwór Cielkiewicza. Lasy te graniczyły z sobą, i dzieliła je tylko niewielka łączka, środkiem której płynął niewielki strumyczek. Nie było na niej nigdy kopców granicznych, bo od niepamiętnych czasów strumyczek ten stanowił granicę.

Tymczasem jednego roku w skwarne lato, znikł nagle strumyczek, ale zczezł bez wieści; czyli źródło wyschło, czy inne sobie obrał koryto, nikt nie wiedział, i nikt się nad tem długo nie zastanawiał, bo po prawdzie nikt nie uważał. I trwało to może lat kilka; małe strumyka koryto zarosło bujną trawą i różno-barwnem kwieciem, mały tylko i ledwie dojrzany zostawiwszy po sobie ślad jakby małego parowku. Pierwszy postrzegł to Piotruś. Pan Jan miał tam w lasku pasiekę i często do niej wyjeżdżał wraz z dziećmi, które biegały i bawiły się tymczasem po zielonej łące. Piotruś miał już wówczas 9 czy 10 lat i pojęcie nad wiek swój. Zaraz więc to ojcu doniósł i zwrócił jego uwagę na to, mówiąc:

— Ale gdzież teraz granica?

Zrazu ojciec nie zważał na to, ale razu jednego, gdy obaj sąsiedzi wracali z polowania, oba w nienajlepszym humorze, bo się polowanie nie udało i jakoś się popstrzykali na nowo o swoich chłopców, a co najgorzej, że trzymając się dawnego prawidła: na frasunek dobry trunek, i żeby obwarować się naprzeciw przenikliwemu zimnu jesiennemu, zajrzeli razy kilka do drewnianych swych z gorzałką manierek. Dosyć, że przechodząc przez ławkę, przyszła rozmowa na granicę, i pan Jan złym tej chwili duchem wiedziony, zwrócił uwagę sąsiada na to, że niema żadnych znaków granicznych, przyczem przebąknął coś o dawnej miejscowej tradycyi, jakby cała łączka wraz z małym brzozowym krąglakiem, który stał na jej końcu, należała dawniej do Fedorówki.

Pan Samuel nie zniósł tego cierpliwie, i słówko po słówku przyszło do tego, że się sąsiedzi na prawdę pokłócili i przysięgli na wzajem, że jednego noga u drugiego nie postoi.

Smutna to była zima dla obydwóch sąsiadów, bo wierni przysiędze nie przyjeżdżali do siebie, chociaż nie raz i nie dwa jeden i drugi patrząc z okien swoich na dwór sąsiedzki, ledwie nie wściekł się ze złości i gniewu na siebie samego. Ucięli sobie tylko po parę listów, w których jak to zwykle bywa rozjątrzali się nawzajem tą głupią graniczną kwestyą, funta kłaków nie wartą.

Przyszła wiosna. Pan Jan postanowił coś stanowczego zrobić w tej kwestyi granicznej; zabrawszy zatem wójta starego i innego jeszcze zgrzybiałego ze wsi staruszka a zarazem i dzieci by się zabawili, wyjechał za Prut na ową łączkę.

Staruszkowie wiejscy naskrobali się nie mało w głowy swe, nazdejmowali czapek co niemiara, nagwarzyli siła, i o tem i o owem, ale kwestyi granicznej w niczem nie wyświecili.

Przez ten czas Piotruś, oddzieliwszy się od drugich dzieci, sam jeden to tam, to sam uwijał się po całej łące. Aż nareszcie z iskrzącemi oczyma przybiegł do ojca i pociągnął go za sobą.

— Chodź tatku! mamy granicę! wołał radośnie podskakując.

I zaprowadził go po za koryto dawnego strumyka, aż na drugi koniec łączki, gdzie jak to już mówiliśmy, stał ów krąglak ze trzydziestu może brzóz złożony, oddzielony trocha od reszty lasu. Po za tym krąglakiem ciągnął się także smug jakiś wklęsły, do małego parowku, albo łożyska dawno wyschniętego strumyka podobny.

— To jest granica nasza! zawołał chłopiec tryumfującym głosem. To jest ślad granicznego strumienia!

Ojciec wypatrzył się na niego z pewną ciekawością, przestraszoną nieco, a chłopiec trzepał dalej:

— Trzeba sprowadzić komornika!

— A ty zkąd wiesz co to komornik?

— A to doskonały stan! wykrzyknął chłopiec z pewnym zapałem, i ciągnął dalej swoją rzecz:

— Jak zjedzie komornik, tatko zwoła gromadę, przyjmie ich wódką i wszyscy zeznają.

To już było za nadto dla pana Jana Wyrwicza. Odskoczył parę kroków, splunął przed siebie z wyrazem odrazy, synka krzyżem świętym naznaczył, jakby chciał szatana od niego odpędzić i grzmiącym krzyknął głosem:

— A czy cię djabeł opętał, żebyś ty przeklęty chłopcze, mnie staremu takie dawał rady. Patrzcie co to za nic dobrego! Tobie to być komornikiem chyba.

Chłopiec przestraszony nic nie odpowiedział, jeno w duszy pomyślał:

— Żebyto!

A ojciec spojrzał w niebo, coś mruknął, może paciorek dziękczynny, że mu pan Bóg w sam czas jeszcze oczy otworzył, i co tchu ruszył do dworu pana Samuela.

Wpadł jak bomba do izby, porwał starego sąsiada w ramiona i jął go całować i przepraszać, aż się wszyscy w domu i starzy i młodzi serdecznie popłakali. Oczywiście po wylewie łez nastąpił wylew trunkowy. Starzy popili się, szczęśliwi oba, jakby ich kto na sto koni posadził. I była znowu zgoda jak dawniej, a wnet na miejscu dawnego strumyka stanęły dwa kopce graniczne, oblane rzęsiście na szczęście.

Najfatalniej wyszedł Piotruś na tej sprawie, bo gdy już kopce stanęły, pan Jan siadł na bryczkę, i wziął Piotrusia z sobą. A gdy przyjechali do onych świeżych kopców, wyjął z bryczki kilimek, rozesłał na kopcu, kazał się na nim synowi położyć, i wlepił mu własną ręką 10 odlewanych ciegów boćkowską dyscypliną. Po czem mu powiedział na pół ze śmiechem, na pół poważnie:

— A to! abyś pamiętał, gdzie twoja granica, mój ty komorniku!

Piotruś się spłakał, ale się nie gniewał przecie, gdy go odtąd na drwiny nazywano nieraz komornikiem.

Tymczasem lata ubiegały zwykłym trybem, niczem niewstrzymane, złą i dobrą przynosząc z sobą dolę, i wiele zmieniło się w dworku Fedorowieckim. Nie będziemy szczegółowo opisywać ni lat minionych ni owych zmian zawsze smutnych, które w każdej rzeczy ludzkiej przychodzą powoli, gdyby zmarszczki na twarz, i dla tego właśnie są podobno najsmutniejsze.

Na początku jakoś to było wieku nowego, co tyle rozmaitych a miłych przyniósł z sobą nadziei, których echo odbiło się po wszystkich kątach dawnej ziemi polskiej, a z których że się tak niewiele ziściło, Bóg to zrządził, a tyle milionów ludzi rozmaitemi przepłakało łzami,—i było to jakoś w jesieni, smutny odbywał się obrzęd w dworku Federowieckim. Był to pogrzeb pana Jana. Liczny zjazd sąsiadów zasmuconych szczerze, dowodził, że wszyscy w okolicy serdecznie żałowali poczciwego Wyrwicza, który nie tyle w skutek lat i słabości jako raczej w skutek doznanych zgryzot prawego dokończył żywota. Ostatniemi laty bowiem różne spadły na niego nieszczęścia, cierpliwie znoszone jako dopust boży. Przyszły gradobicia, pomorek na bydło, a że i czasy się jakoś w skutek wojen europejskich pogorszyły, pan Jan Wyrwicz przymuszony był pozaciągać długi, co poczciwego szlachcica gryzło niepospolicie, bo się zawsze długów bał jak ognia, i przykro mu było, zostawiać rodzinie mająteczek uszczuplony i zadłużony. A że mimo to pan Jan jako prawdziwy polak i szlachcic żył po dawnemu, i z dawną gościnnością przyjmował sąsiadów, stan jego majątkowy pogorszał się co roku, i przyszła wreszcie chwila, w której zrozumiał, że cały byt jego rodziny zagrożony. Nie mógł już tego przenieść stary szlachcic, zaniemógł jakoś na wiosnę, przechyrlał przez lato, a w jesieni jak się położył, nie wstał już więcej.

Na pogrzeb więc zjechali się sąsiedzi pocieszając o ile możności niczem niepocieszoną wdowę. Przyjechały obie starsze córki, które wyszły jakoś przed parą laty za mąż, oczywiście za szlachciców równie podupadłych jakim był pan Jan Wyrwicz. Synów młodszych nie było, bo oba chłopcy półdziećmi jeszcze wymknęli się z domu rodzicielskiego, by pociągnąć do Włoch za nadziejami, których przedstawicielem był Dąbrowski i jego legiony, a których wieść do szlacheckiego dworku przywiózł znany nam ksiądz Idzi. W domu przy rodzicach została tylko Rózia, młode i śliczne dziewczę, śliczniejsze jeszcze w swej sierocej żałobie. Przyjechał nareszcie i pan Piotr, który także od lat już kilku porzucił dom rodzicielski.

Pan Piotr odbył szkoły w Stanisławowie i Lwowie, liznął czego wówczas w szkołach liznąć można było: nieco łaciny, nieco niemieczczyzny, i innych nauk i wiadomości potroszeczku. Wystarczało to jakoś wówczas, bo wymagania nie były tak wielkie jak dzisiaj, i Piotruś który uczył się pilnie, wyszedł na pana Piotra, jeżeli nie nader uczonego, to przynajmniej wielce poważnego pewnego siebie, obdarzonego silnem postanowieniem, przepchania się w świecie, i zdobycia sobie zawodu miłego i korzystnego dla siebie. Miał do tego jak już wlatach jego dziecinnych widzieć mogliśmy, wszelkie usposobienie, i mimo że mu rodzice nie wiele przysyłać mogli i to go regularnie nie dochodziło, umiał dać sobie rady, zdobywając otrzymanie swoje per fas et nefas. Od studentów niebardzo lubiony, umiał przecie stać się im potrzebnym, i korzystać z nich za pomocą rozmaitych spekulacyj, które tem mu się stały potrzebniejsze, że w końcu i te skąpe zasiłki jakie z domu przychodziły, ustały zupełnie.

Prócz zwykłych korepetycyj, które godzinami udzielał bogatszym, wymyślił on inny jeszcze koncept spekulacyjny, który mu nie złą przynosił intratę. Pisząc prędko dosyć i czytelnie, spisywał zawsze wszystkie profesorów prelekcye; te potem w domu porządkował i przepisywał na rąk kilka. Takie potem scripta, jak to językiem studenckim nazywano, gdy przychodziło do egzaminów, przedawał leniwszym i majętniejszym kolegom za różne ceny, stósownie do możności i potrzeby kupujących. Niemało też przynosiła mu sztuka faciendy, którą w szkołach udoskonalił, i która mu ogromnie pomagała mianowicie co do sukien, które rozmaitemi sposobami umiał od kolegów za lada co wytumanić. Skończywszy tym sposobem szkoły, obejrzał się pan Piotr za zawodem, jaki-by mu obrać należało, lecz nie długo myślał. Zawód prawniczy uśmiechał się mu najmocniej, a w nim posada komornika wydała mu się najpożądańszą. Ku niej więc dążyć silne wziął postanowienie.

Robili mu w tej mierze różne przedstawienia, i rodzice i koledzy niektórzy. Rodzicom odpowiadał:

— Straciliście majątek, a ja go nazad zdobędę i powiększę.

A gdy któryś z kolegów zrobił uwagę, że jeżeli już iść do urzędu, to lepiej wybrać płatny jaki, a komornicy przecie żadnej stałej nie pobierają pensyi, —

— Głupiś ty mój kochany! odpowiedział pan Piotr. To jest właśnie najlepsze w posadzie komornika; nie bierze od jednego ale bierze od wszystkich, bo nikt za życia i po śmierci nie może się obejść bez komornika; nie bierze od jednego, a zatem ma prawo żądać i brać od wszystkich.

Gdyby nie co innego, te same już słowa dowodzą, że pan Piotr nielada głową był obdarzony. Temi bowiem słowami trafił jak to mówią, w sedno i najlepiej zdefiniował stronę korzystną i moralną posady komornika. Odkrył dla czego się tak ludzie chętnie do tej garnęli posady, i odsłonił całą onej moralną szkaradę lepiej, niż-by to najrozwleklejsza zrobić zdołała rozprawa.

Jakoż dziś, kiedy dzięki nowym ustawom posada ta zniknąć ma zupełnie, możemy sobie powiedzieć po szczeremu, że w dawniejszem urządzeniu społeczeństwa naszego komornik był jednym z wrzodów onego moralnych. Był zaiste wrzodem podwójnym; bo niedosyć że taki komornik rozmaitemi środkami wysysał gdzie mógł i jak mógł wszelkie soki najżywotniejsze z majątków szlacheckich, ale co gorzej jeszcze, sama konieczność jego posady psuła go i psuć musiała moralnie. Tak że śmiało wyrzec można, najpoczciwszy człowiek zostawszy komornikiem, po latach kilku swego urzędowania, jeżeli nie koniecznie został łotrem, to przynajmniej wyciągając wszędzie ręce za datkiem, i na prawo i na lewo, mając po temu tysiączne sposobności, musiał się wyzuć koniecznie w sprawach pieniężnych z tej wyższej delikatności i prawości, które znamionują człowieka uczciwego. Komornik był pomiędzy laikami tem prawie, czem kwestarz w zakonie. Jeno że ten kwestuje dla zakonu, i jego natręctwo pokryte jest szatą pobożności i pożytku wyrastającego z kwesty dla pewnej liczby ludzi; a i ta kwesta każdy przyzna, ile razy poniżając charakter kwestarza przechodziła w mniej szlachetne darcie oczów i pożądliwość niepohamowaną! Komornik zaś był widomym kwestarzem dla własnego egoizmu, dla własnej chciwości, i wszystkich najkapryśniejszych, rodzących się co chwila jak grzyby po deszczu, zachceń własnych. (D. c. n.)

Śpiew łabędzi.

Pieśń pożegnalna młodego poety z dramatu: «Zemsta Majnottów.»

Łódko moja, miła łódko!
Cicho życiem niosłaś mnie,
Ale podróż miałem krótką,
Już zatoka wabi cię.
Oceanem oh! szerokim
Jabym jeszcze płynąć rad!
Płynąć w świat, niezmierzon okiem,
Płynąć w czynów, w pieśni świat!
Darmo, darmo łódko ma,
Już ostatnia piosnka ta!

Żegnaj morze me rodzinne!
O, jam lubił pływać tak!
W śród fal twoich w dnie dzienne,
Jak wśród chmurek buja ptak.
Potem młodzian zasępiony
Nocą słuchał fal twych szum,
Ciche tony w lutni strony
Brałem z ciebie do mych dum.
Już nie ujrzę fali twej,
Żegnaj morze, żegnaj mi!

O Hellado, ziemio święta,
Całe serce dałem ci.
Rdzę pieśń, stalą ma dłoń pęta
Twe zerwała z piersi twej.
Ja konałem w twoim skonie,
Szczęściem, sławąm twoją żył,
I z gwiazd przeszłych na twe skronie
Pieśni złoty'm wieniec zwił;
O Hellado jam syn twój!
Żegnaj święty kraju mój!

Niebo jasne, gwiazdy, słońca,
K'wam tęskniłem w życiu tem;
Żeby chociaż śnić bez końca
O was w wczesnym grobie mym.
Panie.. moja krew ofiarna,
Idzie do cię w niebios szczyt,
Bodaj oh! nie była marna...
Ale lutnio, cyt już... cyt...
Przyjmie Bóg ofiarę krwi,
Młode życie żegnaj mi!

Na młodego piewcy grobie
Bujnie wzrośnie cyprys ten,
Na gałązce ty w żałobie
Dzwoń mi lutnio w wieczny sen!
A gdy wiatr cię zakołysze,
Ciche strony ozwą się,
Ja w mogile cię usłyszę,
Pieśń mi złota przyśni się..
Złotostrunna lutnio ma,
Ciebie... żegna... żalu łza!

J. K. S.

O przekładach.

Ilekroć brałem pióro do ręki, aby coś przetłumaczyć na polskie z francuskiego, niemieckiego lub rossyjskiego, zawsze przychodziło mi na myśl to pytanie: czy trudniej napisać trudny a wierny przekład, aniżeli oryginał? Nigdym jednak nie miał dość czasu czy też ochoty, do bliższego się zastanowienia i zgłębienia całej rzeczy. Raz tedy postanowiłem skreślić krótką rozprawkę, wykazującą trudność niezmierną w tłumaczeniu książek z obcych języków na polski, chcąc, aby to tłumaczenie było dobrem a wiernem. Mówić będę tylko o polskich przekładach, nie dla tego, a-

bym tłumaczenia, francuskie niemieckie lub rossyjskie z polskiego miał uważać bez trudności; owszem rozumiem, że one więcej jak polskie nastręczają trudności do pokonania; przemilczę atoli o nich z prostej *niewiadomości*, ponieważ nigdym z polskiego na żaden język obcy nie tłumaczył, a zatem o rzeczy mi obcej mówić nie mogę.

Przekład jest kopiją, ale kopiją wcale różną od tej jaka jest w malarstwie. Malarz gdy kopijuje, ma tylko na myśli głównie jedną stronę obrazu, oddać kopiją taką jak oryginał. On głównie patrzy na stronę obrazu który kopijuje, wewnętrzną, chociaż dobór farb, kolorytu i innych form zewnętrznych obrazu nie poślednią gra rolę w każdem malowidle. Z tłumaczem rzecz się ma zupełnie inaczej. Tłumacz, chcąc oddać przekład *zupełny*, ma do pokonania nadzwyczaj trudną sprzeczność, pogodzić a raczej wpoić w siebie ducha języka oryginału względnie języka, na jaki tłumaczy.

Tłumacząc się jaśniej,—musi tak być wtajemniczonym w ducha obu języków, aby poznając, że tak powiem, wnętrze jednego nie stracił nic z drugiego, — rozumiejąc głęboko oryginał, ujął całą myśl w nim zawartą *swoim* językiem. Króciej: co zyszcze w oryginale, aby nie stracił w przekładzie. Oto cała trudność do pokonania, trudność zaprawdę ogromna. Widzimy więc, że tłumacz musi na dwie rzeczy równie pilną mieć baczność. Raz na treść i język oryginału, powtóre na język którym tłumaczy; musi zatem tak dobrze umieć język oryginału jak swój własny. Musi np. tłumacząc z francuskiego, być tak dobrym w tym względzie Francuzem jak Polakiem. Rozbierzemy pokrótce każdą osobno z tych trudności.

Do zrozumienia ducha treści i języka jakiegoś dzieła, trzeba nietylko doskonale posiadać język teoretycznie i praktycznie, ale nadto trzeba go mieć w ciągłem używaniu. Przez ciągłe używanie języka nie tylko że się oswaja z duchem jego, ale poznaje się charakter jego stopniowy, różne odcienia epokowe. Bo nie podobna, aby ktoś zawsze jednych czytywał pisarzy, a czytając tych i owych poznaje się style, tak odmienne jedne od drugich, rozwój postępowy języka i literatury,—a zatem wtajemnicza się w ducha języka. Taki tylko może tuszyć sobie dobre powodzenie przekładu swego. Jeśli nie tłumaczy, bardzo źle robi. Bo posiadając tak dobrze język jaki cudzoziemski, łatwo może przysłużyć się rodakom dobremi przekładami, zaznajamiając ich z autorami nie dla każdego przystępnymi. A przy tem ochroni ich od nędznych ramot, które w braku lepszych tłumaczeń, mają jakie takie powodzenie.

Teraz przypatrzmyż się przekładowi, pozbawionemu jednego z warunków wyżej przez nas postawionych. Weźmy najprzód tłumaczenie dobrze ale nie wiernie oddane. Będzież to przekład? Nie. To coś będzie na epitomatorstwo zakrawać; będzie jakąś mięszaniną myśli autora na pół przekręconych z myślami tłumacza. Taki przekład nie może być ani oryginałem, ani *tłumaczeniem* nazwany; licho wie, co to jest. Podobny utwór wykrywa nieudolność tłumacza, który chcąc a nie mogąc pisać oryginału, między cudze słowa wkłada własne, niby to na pokazanie jakiejś erudycyi, ma się rozumieć, stokroć razy większej od autora. Nieborak! przyczepia swoje myśli do cudzych, przekręca nie wiedząc, że sam na siebie bicz kręci. Takie przekłady prócz wykrycia nieudolności autora do napisania oryginału o swych siłach, jeszcze i tę dla tłumacza mają złą stronę, iż są najwybitniejszym dowodem głupoty jego; albowiem najczęściej niewiedząc jak tu przetłumaczyć to a to wyrażenie, a nie chcąc znów uchodzić za nieświadomego rzeczy traktowanej, musi nadstawiać, zapełniać wypuszczone miejsca, jako tako sztukować własnemi myślami, zdaniami często na nieszczęście przeciwnemi autorowi. I ztąd to wyrośnie przekład niepodobny do oryginału. Lepiej dać sobie pokój, aniżeli taką łataną bronią wojować.

Bardzo mała jest liczba przekładów, któreby przy wierności napisane były czystym językiem, nic nie trącącym duchem języka w oryginale. Jest to wada mianowicie francuskich tłumaczów naszych tak upowszechniona, że nawet nikt na to uwagi nie zwraca. Nie przesadzę jeśli powiem, że na sto przekładów polskich z francuskiego ledwie jeden się znajdzie bez galicyzmów. Mnie się zdaje, że zaniedbanie języka ojczystego, ogólna mania do francuzczyzny, powszechne uprzedzenie, że co francuskie to cywilizacyjne, ta nieszczęsna puścizna po wieku stanisławowskim, poczynająca się przecie wydziedziczać — jest tego główną przyczyną. Utrzymują jeszcze niektórzy, na co się zgadzam po części, że tłumacze polscy książek francuskich, mianowicie też lekkiej literatury, umyślnie, chcąc dogodzić zfrancuziałym polkom wyższego tonu, jedynym prawie czytelniczkom podobnych utworów, tłumaczą po polsku z francuska, kładą na każdej stronnicy kilka galicyzmów, dając odbyt nakładcom. Nie chcę wchodzić w dalsze szczegóły i ich dochodzenie; i tak za dalekom się posunął, co jedynie wypadło z całego toku rzeczy. Mnie chodzi tylko o pokazanie, jak trudne zadanie tłumacza, godnie wywiązać się z obowiązku swego; oraz, że dobry dać przekład trudniejszą rzeczą, przynajmniej podług mnie, aniżeli dobry napisać oryginał.

Po tych kilku słowach, określających oba rodzaje przekładów niedostatecznych, spyta mię może kto: Jaki lepszy przekład? Czy wierny, czy też dobry? Trudny wybór. Gdyby kto jednak koniecznie tego po mnie wymagał, przeniósłbym w każdym razie wierność nad dobroć; bo choć język w tłumaczeniu jest wielką zaletą jego, to przecież przkład choćby najlepiej napisany a nieoddany z myślą oryginału, musi ustąpić tłumaczeniu wiernemu, lubo zawsze niedostatecznemu, skoru niewłaściwym językiem napisany.

Niech sobie kto jak chce mówi, że przekład byle głupiec umiejący dobrzy język, uskuteczni, że chcąc napisać

dobry oryginał trzeba długich studiów i t. d. Przyznaję to wszystko. Nie przeczę bynajmniej, że do napisania dobrego dzieła oryginalnego, trzeba długoletnich studyów; lecz tego mi nikt nie wybije z głowy, że zmudniejszą o wiele i trudniejszą do zdziałania jest pracą dobrze a wiernie wytłumaczyć, aniżeli napisać dzieło oryginalne. Przynajmniej ja tegom niezmiennie zdania. Wolę napisać oryginał sześcio arkuszowy, niżli dobry a wierny przekład o połowę mniejszy.

Jeszcze na zakończenie niniejszej rozprawki bierze mię ochota, pomówić kilka słów o tłumaczeniach.

Tłumacząc jakąś rzecz natrafiam na przedmiot, który albo całkiem albo li też częściowo nie umiem przetłumaczyć bez porady słownika. Szukam więc słow potrzebnych w lexiconie, i na jeden wyraz znajduję sześć, ośm, czasem dziesięć i więcej, stósownie jak być może użytym w rozlicznych zdaniach. Będęż pewnym, iż tego a nie innego użyć należy w tem lub owem wyrażeniu? Mogęż bez obawy złego użycia, położyć go śmiało w przekładzie? Mogęż być pewnym, że on nie skrzywi, nie zrobi jakiegoś uszkodzenia całemu zdaniu a może i całemu dziełu autora? Jakiegoż więc trzeba wtajemniczenia się, że tak powiem subtelnego, w słownictwo języka, który mamy spolszczać, aby ujść wszelkim podobnym błędom! Nie mamże słusznie mówić, że to mozolna i nader trudna do wykonania, a nigdy prawie nie opłacona praca d o b r z e a w i e r n i e tłumaczyć? A takie wtajemniczenie znów w ducha języka nie przeszkadzaż do zachowania czystości języka na który przekładamy? Czyż łacno nie można galicyzmu miasto polonizmu położyć, mając całą uwagę zwróconą na oryginał? Przytem każdy co się zabiera do tłumaczenia pewnego dzieła, niech z uwagi nie spuszcza osnowy jego; bowiem o wiele trudniej tłumaczyć dzieło w przedmiocie ojczystym, jednemu narodowi właściwym, aniżeli traktujące o rzeczy ogólnej, n. p. w przedmiocie nauk przyrodzonych. A tak zważywszy te i inne jeszcze okoliczności nader trudne do przełamania przy tłumaczeniu, każdy przyznać musi, że przekład dobry a wierny nie małej pracy wymaga.

Angielska izba niższa.

(Ciąg dalszy)

Jeżeli punkt o czwartej godzinie nie ma 40 członków, wtedy marszałek miejsce swoje opuszcza i sessją odracza na dzień następny. Wypadek taki na początku sejmu rzadko się wydarza; członkowie po długim odpoczynku z świeżemi siłami chętnie biorą się do dzieła, prace wydziałowe jeszcze nie rozpoczynają się, zaś zima nie ciągnie nikogo na wieś lub podróże.

Inaczej ma się rzecz oczywiście, gdy lato już nadejdzie, ważniejsze debaty się ukończyły i zostały tylko twarde prace wydziałowe; wtedy nieraz izba się jako niekompletna rozchodzi.

Na początku sejmu tylko w poniedziałki i piątki wchodzą na stół sprawy ministerjalne, ale ku końcu jedne tylko czwartki zostają się dla bilów prywatnych, i nie bardzo chętnie widziani są wtedy członkowie opozycyi. A jeśli który z nich zamierza żądać od ministrów objaśnień, mogących wywołać debaty,«które o tej porze roku już trudnoby do rezulatu jakiego doprowadziły,» wtedy ajent rządowy ma się starać o to, aby jak najmniej tych panów się zgromadziło. Czasem izba się rozejdzie z przyczyny, że albo debaty nie są zajmujące, albo członek głos zabierający niema tak licznego stronnictwa, aby samo dla się już izbę stanowić mogło.

Jeżeli deputowani w pełnej liczbie się zgromadzą, wtedy nasamprzód zaprasza marszałek nowych członków do składania przysięgi, z których każdy w towarzystwie swego przyjaciela i ajenta stronnictwa, do którego przystąpił, na trzy strony się kłaniając staje przy stoliku i tamże przysięgę przepisaną składa, poczem się w księgę parlamentu zapisuje, marszałkowi rękę ściska i nakoniec miejsce sobie wybiera, z którego będzie pomagał prawodawcom W. Brytanii.

Krótka ta ceremonia zwykle nikogo nie zajmuje, chyba gdy do niej przystępuje mąż sławny i ulubiony. Wiele hałasu w ostatnich latach narobiło przystąpienie kilku deputowanych starozakonnych do przysięgi. Tak n. p. baron Lionel Rotszyld musiał ustąpić od stołu, kiedy zażądał, aby na księgę starego zakonu przysięgę mógł składać, o której to księdze Sir Robert Inglis powątpiewał, czy w bibliotece parlamentu się znajduje. Pozwolono mu było wprawdzie po kilku debatach, przysięgać na biblią starego zakonu, ale gdy przy zakończeniu formułki przysięgi: »jako prawdziwym jestem chrześcianem« nagle stanął, marszałek wyrzekł powtórnie fatalne: «You may withdraw», i pierwszy bankier Europy ze wstydem znowu cofnąć się musiał na galeryą, z której już pomimo największych zabiegów na ławy deputowanych nigdy nie zeszedł.

Po odbytych przysięgach wytaczają się zwykle sprawy prywatne i miejscowe, i kto wtedy pierwszy raz się popatrzy na zgromadzenie prawodawców Anglii, myślałby, że patrzy na warjatów. Każdy biega po ławkach, do marszałka, krzyczy, radzi, ale wszystko jakoś rączo i zgodnie. Śród tej wrzawy i zamieszania słychać tylko donośny głos marszałka wywołującego, p. Brothertona, opiekuna prawie wszystkich spraw tego rodzaju. Szanowny deputowany czyta i poci się, usiada na ostatek na ławkach rządowych, proponowaszy pierwszy i drugi odczyt swego bilu i poddanie go pod obrady wydziału. Każdy wniosek marszałek powtarza słowo po słowie i kończy formułką, którą przy każdem odczytaniu każdej petycyi powtarza: »którzy są za wnioskiem, niech wyrzekną t a k, którzy przeciw, niech wyrzekną, n i e.«

Bile, t. j. wnioski, prywatne przychodzą zwykle bez debatów do powtórnego odczytania, gdyż najczęściej wyrok wydziału wystarczy do zaspokojenia stron. Ale gdy które stronnictwo zaweźmie się na nie, wtedy w dzienniku obrad do treści bilu dokładają słowa: «by order» i jeden członek strony przeciwnej zanosi wniosek, by powtórny odczyt aż na 6 miesięcy był odroczony, to jest aby bil upadł. Wtedy się poczynają namiętne debaty stronnictw, kończące się na głosowaniu. Ale takie debaty należą do wyjątków, i p. Brotherton powierzone sobie sprawy często w kwandransie do skutku doprowadza.

Obrady nad bilami prywatnemi kończą się zwykle o 5. godzinie, poczem przystępują deputowani z prośbami. Po oddaniu tychże na ręce marszałka, przychodzi sługa parlamentu i spycha je bez ceremonii do wora. Przed kilku laty wystąpił p. Duncombe z olbrzymią petycyą Chartystów, którą czterych sług na drągach wnieść musiało. Akt petycyi zaścielił część podłogi, i cała izba wybuchnęła w śmiech homeryczny, gdy marszałek podług przepisu zażądał, aby ją pan Duncombe własnoręcznie podał. City londyńska ma przywilej, że petycye swoje nie przez deputowanego, ale przez szeryfa do izby podawać może.

Podczas gdy petycye się ułatwiają, poczynają się schodzić ministrowie i naczelnicy opozycyi i zasiadają swoje zwykłe miejsca.

Wrzawa się ucisza, a marszałek pyta się, czy nie będą zapowiedziane inne wnioski na później. (C. d. n.)

Teatr krakowski.

Rozpoczęcie widowisk polskich na kurs zimowy, Jan N. Kamiński.

* Zimowy kurs widowisk polskich rozpoczął się w dniu 28. października nową sztuką, dotąd niedawaną u nas, pióra Kamińskiego Jana Nepomucena p. t. Staroświecczyzna i Postęp czasu, wesółka w 5, aktach.

Kiedy słuchaliśmy wygłoszenia tej sztuki, nie mieliśmy na myśli pytania, jak ona jest napisaną? czy odpowiada choć w części pojęciom dzisiejszego smaku i wykształcenia, ale mieliśmy na myśli to, że ją Kamiński napisał, iż ją kreślił mąż, który po Bogusławskim, godnie piastował przewodnictwo nad sceną, miłując ją serdecznie, wspierając całemi zasobami umysłu i środków materyalnych, mąż, który mimo podeszłego wieku lat 77. nie zapomina tego, co już dawno przestało być jego obowiązkiem, który jak w roku 1798 tłumaczył Bogusławskiemu operę: «Drzewo Dyanny,« tak z równą starannością przez dalsze przeszło półstólecia, scenie polskiej corocznie składa podarunki *).

Czy znajdziemy dzisiaj drugiego u nas dyrektora z podobnem zamiłowaniem sceny? z podobną gruntowną nankowością i pojmowaniem swego zadania? z podobnem serdecznem poświęceniem sił swoich i zdolności? z podobną wyższością umysłową? Czy który z dzisiejszych dyrektorów sceny polskiej, narodowej, pojmuje tak jak Kamiński pojmował, czem on jest, a czem być powinien? czy jest zdolny choćby w cząsteczce do podjęcia prac takich, jakie Kamiński podejmował? — Odpowiedź na to, niestety! nader nietrudna. Wielkość pojęcia obowiązków i poświęceń dla sceny ojczystej, roztwiera się dzisiaj dla nich i zawiera kluczem od kasy teatralnej.

Otwarcie widowisk polskich, zgromadziło w teatrze wielu miłośników sceny. Oprócz czterech lóż nie zajętych, zapełnione wszystkie miejsca, a publiczność łaskawie powitała powrót artystów, których los im dziś nieprzyjazny, skazuje na tułactwo sześciomiesięczne do roku. Obecnie należy artystów naszych przyjmować pobłażliwie i wspierać scenę całemi siłami, bo inaczej upaśćby musiała, przy rywalizacyi sceny drugiej, jak skoro tej oddano wszelkie środki utrzymywania się i przewodnictwo.

*) Ponieważ nie mamy dotąd opracowanej bibliografii polskiej z ostatniego półstolecia, przeto i w historyi literatury naszej, niejedna postać znakomitsza nie rysuje się z tą wydatnością, jak spodziewać się by należało. To stało się i z Kamińskim; zasługi jego w dziejach teatru pozostają dotąd bez ocenienia należytego.— Bibliograficzne zapiski wykazują nam te jego prace teatralne oryginalne: 1) Zabobon czyli Krakowiacy i Górale d. w 3. a. 2) Kosynier czyli Antek z pod Racławic (1831 r.) 3) Zdrajca kraju, drama. 4) Kochany braciszek k. w 1. a. 5) Kłótnia o wiatr czyli Szlachta czynszowa K. O. 6) Skalmierzanki op. w 3. a. 7) Twardowski na Krzemionkach czyli Złotomir i Lubowida dr. w 3. a. 8) Mieszkaniec przepaści czyli Dziewica w górach karyntskich dr. 9) Książęta mazowieccy k. w 5. a. 10) Mieszczanin szlachcic czyli Turcy na Wołyniu. 11) Młynarz i Kominiarz czyli zawalenie się wieży ratusznej we Lwowie k. 12) Wesele na Podgórzu k. 13) Spekulant k. w 5. a. 14) Despotyczna Starościanka i jej imieniny. 15) Listopad czyli bracia Strawińscy d, w 5. a. i t. p. Tłumaczone sztuki: 1) Dwaj Pikkolominowie (Schiller): 2) Lekarz swojego honoru (Kalderon). 3) Niebespieczna ciotunia (Albini). 4) Ukrainiec (Albini). 5) Hajdamacy na Ukrainie. 6) Chata wuja Tomasza. 7) Aladyn. 8) Gustaw wychowaniec lasów (Lambignon). 9) Piotr I. czyli Dziewica z Mariemburga. 10) Zaręczyny djabła. 11) Już niema starych panien. 12) Siedm dziewcząt pod bronią, i t. p. Nie wymieniłem tutaj ani połowy prac Kamińskiego; szkoda, że autor dozwala im pójść w poniewierkę i zapomnienie. Oby naśladując Bogusławskiego, zechciał je w kilkadziesiąt tomowe zebrać dzieło i szczegółową historyą teatru przezeń zarządzanego zaopatrzyć. Na dzieła Bogusłaskiego znalazło się 700 prenumeratorów, miał ich i Jasiński i Dmuszewski, nie brakłoby ich i Kamińskiemu a zostawiłby trwałą pamiątkę po sobie.

Minęły czasy niepowrotne świetności sceny polskiej w Krakowie, kiedy nią zaszczytnie zarządzał Meciszewski Hilary. Czasy tej meteorycznej wielkości, nie mogą być podawane za skalę do miary ubóstwa dzisiejszego, bo i stosunki się zmieniły i zmieniły się role. Kiedy bowiem teatr krakowski otwierał gościnnie w letnie miesiące podwoje swe scenie niemieckiej, dziś scena ta otwiera teatrowi polskiemu przytułek na zimę, a zasiłek dla niego dawniej uchwalony, zatrzymuje dla siebie.

Scenie naszej pozostawiono dwa dni co tygodnia i co drugą niedzielę, pięcioma niemiecka rozporządza dla siebie. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* W poniedziałek to jest 6. tego miesiąca dane było polowanie w dobrach Jego Exc. hr. Alfreda Potockiego dla Jego Exc. hrabiego Szlicka, i trwało od 10. zrana do 4. po obiedzie. Zabito 36. zajęcy, ośm lisów, kozła, kilka słomek i kuropatw i także rzadkiej wielkośei orła.

* Wczoraj rano Cesarzewicz Jego Mość, Arcyksiąże Karol Ludwik wyjechał na Podole. Nocleg odbywał w Brzeżanach u hrabiego Potockiego. Dalej uda się do Tarnopola a przez Złoczów powracać będzie dnia 13. do Lwowa. Cesarzewiczowi Jego Mości towarzyszy JExc. hr. Namiestnik. Wyjechał również do Tarnopola Jego Exc. jenerał jazdy i dowódca czwartej armii hr. Schlick.

* W Nrze 42. Dziennika Literackiego czytamy następującą odezwę od wydawcy: «Pomimo usilnych starań moich o podniesienie «Dziennika Literackiekiego,» liczba prenumeratorów nieodpowiadają wydatkom na to pismo łożonym. Już drugi rok ponoszę straty znaczne; w samym bieżącym roku o 1000 złr. m. k. prawie wydatki były większe niż przychody. Albowiem na r. b. wynoszą wydatki:

Druk i papier rocznie 52½ numerów 400 egzemlarzy po 20 złr. m. k. 1050 złr. Redakcya i jej wydatki rocznie 600 złr. Ekspedycyja, porta i nadzwyczajne wydatki do dnia dzisiejszego 64 złr. Razem 1714 złr. m. k.

Dochód zaś był następujący: Kwartał I. liczba prenumeratorów 118 czyni 236 złr. Kwartał II. liczba prenumeratorów 106 czyni 212 złr. Kwartał III, liczba prenumeratorów 85 czyni 170 złr. Kwartał IV. do dziś liczba prenumeratorów 58 czyni 116 złr. Razem 734 złr. m. k,

Porównywając zatem dochód z wydatkami, wypada niedoboru 980 złr. m. k. Wypadałoby mi więc zawiesić to pismo, ten jedyny naukowy organ w Galicyi wychodzący. Wypadkami politycznemi wszyscy zajęci, utrzymują dziś jeno i czytają same dzienniki polityczne, lecz czyż dla tego upadać mają dzienniki, poważną nauką się zajmujące? Raz więc jeszcze udaję się do tych, którzy dotąd wiernie wytrwali przy wspieraniu Dziennika Literackiego, aby dziś od upadku to pismo zachowali. Niech każdy z szanownych czytelników tego pisma, raczy w kole swoich znajomych dwu, trzech prenumeratorów zebrać, szanowni zaś pp. prenumeranci, których ubytek mnie w tak krytyczne położenie wprowadził, niech raczą powtórnie wpływem swoim przyczynić się do rozpowszechnienia tego pisma; a tym sposobem będę mógł i nadal wydawać Dziennik Literacki. Inaczej będę zmuszony zawiesić to pismo i właśnie w chwili, kiedy z wszystkich stron od pisarzów naszych otrzymywać zacząłem pomoc czynną, w artykułach ich pióra.

W wydawaniu Dziennika Literackiekiego nie liczyłem nigdy na zyski; chciałem tylko przysłużyć się sprawie publicznej, i to mię jedynie powodowało, że pomimo tak znacznych strat, nie zaniechałem dotąd przedsięwzięcia mego. Z tego powodu dziś tem śmielej w sprawie tego pisma przemówić mogę.»

Przyjechali od dnia 6. do 7. listopada do Lwowa:

PP. Sabatowski Fryderyk, z Drohobycza. Parys Adam, hr. z Werchraty. Matlachowski Wojciech, ze Złoczowa. Zamorski Jan, z Pluchowa. Hordyński Franciszek, ze Sambora. Siemianowski Franciszek z Siemiginowa. Nahojowski Jan, z Kropiwnik. Krzaczkowski Marcin, ze Sambora. Harasimowicz Marcin, z Tejsarowa. Winnicki Ludwik, z Wierzbicy. Ujejski Erazm, z Lubczy.

PP. Pieniążek Józef, ze Stankowy. Skrzyński Ludwik, z Nozdrca. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic. Bogdanowicz Józef, z Kosowa. Rodkiewicz Józef, z Kosowa. Rozwadowski Erazm, z Hladek. Wasilko Teodor, ze Stanisławowa. Hierowski Ludwik, z Niemirowa. Giziński Aleksander, z Tarnopola. Rogalski Kajetan, z Wybranówki. Czajkowski Jan, z Kamionki. Sliwiński Wojciech, z Dąbrowicy.

Wyjechali od dnia 6. do 7. listopada ze Lwowa:

PP. Chojecki Jan do Stryja. Starzeński Leopold, hr. do Złoczowa. Potocki Stanisław, hr. do Gaj. Dobrucki Wacław, do Podhajec. Szalaj Józef, do Trembowli. Romański Jan, do Łancuta. Laskowski Maksymilian, do Lipnik.

PP. Harasimowicz Marcin, do Skomoroch. Biliński Onufry, do Chocina. Szczepański Mieczysław, do Czajkowic. Gurkowski Marcin, i Kajetan do Nowegomiasta. Lipski Feliks, do Łuczyc. Skrzetuski Edward do Ostrowa. Memert Karol, do Brodów. Hurzkiewicz Jan, do Gaj.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2 po połud.

Amszterdam.	—.	Medyolan za 300 lirów	121
Augsburg za 100 złr.	$124\frac{1}{4}$.	Paryż za 300 franków	143
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$122\frac{1}{4}$	Srebra agio	26
		Pożyczka 5% $83\frac{5}{8}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Genua.		Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$89\frac{7}{8}$.	Akcye banku . . .	—.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	1770
Liwurno.	—	Obl. ind.	$74\frac{1}{4}$.
Londyn za 1 funt szterl.	11 54.	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{1}{4}$.
Marsylia	—.	Pożyczka narodowa . .	88.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr	5	kr.	48
Dukat cesarski	«	5	«	48	«	5	«	50
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	5	«	10	«	8.
Rubel srebrny rosyjski	«	1	«	56	«	1	«	57
Talar pruski	«	1	«	50	«	1	«	51
Polski kurant i pięciozłotówka	«	1	«	25	«	1	«	26

Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu « 85 « 40 86 « —.
Obligacye indemnizacyjne 73. 50 do 74 Złr. 18 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**